

### **... i my zrobieni o świecie z powietrza**

Salvatore Quasimodo

Wciąż nieco oszołomiony, choć już spokojniejszy niż wczoraj, włóczę się pustymi ulicami miasta. Wymarło. Został po nim ogon i przyklapnięte uszy. Jakaś zaraza, czy co? Co jakiś czas przemyka pies, podchodzi do mnie, liże mi buta, potem ucieka jakby coś go we mnie przerażało. Był nawet jeden taki co zakwilił gdy dobiegł, aż puste ulice oglądnęły się za mną, jakbym mu przywalił z buta, a wierz mi, nawet go nie trąciłem, choć buta mam mocnego i lepiej ze mną nie zadzierać. Chyba faktycznie wyglądam jak strach, bo jeden po drugim uciekają ode mnie. Ludzie także. Prawdę gadam, a nawet jeśli nie, to zaraz zacznę, bo znów głowa mi pracuje jak kosiarka i wierci mi się w niej jakieś ostrze albo w szprychy wchodzi czyjaś ręka.

Snuję się po ulicach i co jakiś czas zaglądam do opuszczonych hal targowych, napotkanych magazynów i starych fabryk, gdzie mogę się schować na moment przed deszczem i psami. Zaglądnąłem też na dworzec. Posiedziałem trochę czekając na pociąg jadący na północ, do którego nie wsiadłem, ale zacząłem wspominać. Domyślam się, że musi być we mnie wciąż jakaś resztką tego świata, bo inaczej nic bym nie myślał, tylko trwał. A tak, ruszam się, węszę, posiedzę sobie tu i tam, pogapię się na ludzi i ściany i walę dalej prosto w bęben. Wciąż mi mało tej wędrówki przez spływające deszczem miasto, dziś takie smutne, wygnane z wnętrza samego siebie. Poskładane i bezpieczne. Jak ten pies co się we mnie kurna zakochał, a potem kwilił, skomlał i huzia, dawaj, w nogi.

Już Ci ostatnio mówiłem, że we łbie mi się trochę pomieszało. Bywały dni, że nie wiedziałem gdzie mieszkam, więc to moje łożenie przydaje się, abym mógł przypomnieć sobie jak do domu wrócić. Aaaa, zapomniałbym, pytałeś co z tą dziewczyną, którą śledziłem lata temu, a w końcu wyszło na to, że to ona mnie wciągnęła w tę grę i czułem się tak, jakby zastawiła na mnie pułapkę. Czekaj, muszę sobie przypomnieć, jak to było, tyle czasu minęło... A przecież próbuję od miesięcy zrekonstruować całą tę historię. Poczekaj, mam, spotkaliśmy się kilka miesięcy później. Wcześniej szukałem jej, ale na próżno, potem zapomniałem, rozproszyłem się, byłem z innymi kobietami. Wydawało mi się nawet, że sobie ją wymyśliłem, że stała się kolejną postacią z mojej książki, którą wówczas pisałem. Pasowała idealnie.

\*\*\*

Wszedł na dworzec kolejowy. Właściwie wbiegł w dzikim pędzie, potrącając po drodze kosz na śmieci, wpadając na chudą dziewczynę z wytatuowanym w poziomki ramieniem i rozbijając się niemal na metalowych barierkach oddzielających schodzących do podziemi od tych, którzy z podziemi się wyłaniają. Był spóźniony i podenerwowany. Kupił bilet na sąsiednią stację gdzie miał się spotkać z dawno niewidzianym przyjacielem. W kiosku poprosił o dwie gazety, które przekartkował jeszcze na peronie sprawdzając wyniki meczów i czytając w pośpiechu recenzje dwóch książek, z których jedna była znakomita (choć recenzja wdeptywała ją w ziemię), a druga była zapewne okropna (nie czytał, ale domyślił się, bo recenzja była entuzjastyczna).

Zanim wszedł do pociągu zauważył gigantyczny mural wypełniający całą ścianę dworca. Przedstawiał czarnowłosą kobietę na różnych etapach życia. Dziesiątki prostych obrazków zminiaturyzowanej czarnowłosej, jakby ktoś chciał ją przedstawić jako znak, symbol czegoś co minęło, co mijało właśnie teraz, lub miało minąć za chwilę. Na niektórych obrazkach przypominała dziecięcą lalkę, na innych posiadała cechy Madonny Sykstyńskiej, a zarazem zauważyć można było jakiś rys pop-artowej figurki. Miał wrażenie, że w głębi tej intymnej opowieści kryje się ktoś, kogo życie przerasta, kto walczy z dziesiątkami ról do odegrania, z których każda jest rolą pierwszoplanową, do której nie ma zaplanowanego zastępstwa.

Ciąg multiplikowanych postaci wyglądał niczym zaszyfrowana opowieść, jakieś tajemnicze pismo obrazkowe przeniesione ze skalnych jaskiń albo z japońskich komiksów. Zaintrygowała go pewna mechaniczność przetwarzania i prowadzenia postaci. Andy Warhol byłby wniebowzięty, pomyślał. Wszedł do pociągu, usiadł tyłem do kierunku jazdy. Zwrócił uwagę, że dziewczyna ma jednak w spojrzeniu jakąś niewyobrażalną siłę. Oczy ukryte były za wielkimi okularami, a jej włosy opadały na twarz, jakby coś zabraniało jej patrzeć, a może dostrzegać? Jakby chciała wykrzyknąć: ależ byłam ślepa! Albo zapytać samą siebie: Co straciłam, co zyskałam?

W oczekiwaniu na odjazd pociągu zerknął raz jeszcze na kompozycję postaci, które wisiały niemalże nad jego głową. Musiał się wygiąć by przyjrzeć im się dokładnie. Jego wzrok zatrzymał się na rysunku przedstawiającym czarnowłosą dziewczynę całą świat na swych rękach, podczas gdy gdzieś obok w powietrzu unosiło się dziecko, jakby lewitowało, uspokojone i święte. Walczy ze światem, szepnął do siebie lecz nie wiadomo było czy miał na myśli autorkę rysunków czy tę czarnowłosą dziewczynę, która pokrywała teraz ściany tego mrocznego dworca, który gdyby nie te rysunki, dawno by się rozsypał na tysiące łez. Spojrzał raz jeszcze na kobietę z obrazków. Poczł siłę tej tak uproszczonej i strywalizowanej postaci. Skojarzyła mu się z komputerową grą, w której każdy posiada trzy życia i dziesięć nabołów.

W pewnym momencie przestał skupiać się na poszczególnych rysunkach, spojrzał na nie, jak na ciąg znaków, nie do oglądania, lecz do czytania. Dostrzegł w nim obrazkowe pismo, z którego wyłania się jasny i precyzyjny przekaz posiadający własną gramatykę, styl i zasady. Opowieść wydała mu się zimna, lecz gorąca. Zaszyfrowana, choć samonarzucająca się i łatwa do zinterpretowania. Gdy to pomyślał, pociąg ruszył. Czarnowłosa kobieta i jej jasna, przepęlniona bielą córka zostały w oddali zlewając się w ciemnym tunelu dworca w plamy czerni i bieli, przysłonięte coraz bardziej jaskrawymi billboardami.

Przejechał jedną stację, po wyjściu z dworca usiadł na najbliższej ławce w pobliskim parku. Miał jeszcze sporo czasu do spotkania. Wyciągnął z torby zeszyt, zaczął notować: "Czy życie postaci lepsze jest od życia ludzi? Czy obrazkowa kobieta, która staje się częścią szerszego znaczenia i potężnego umysłu dostępuje odkupienia? Byłoby to prostsze, gdyby nie fakt, że każda stworzona postać, przecząc innym, staje się znakiem troski o własnego stwórcę, a w konsekwencji jest odpowiedzialna za całą ludzkość".

Kroki w tle. Trzask gałęzi. Coś usiadło na jego szyi. Chciał to strzepnąć. Zrzucić z siebie owada, lecz zaraz zorientował się, że to ciepło pochodzi od ludzkiego ciała. Poczł czyjąś dłoń. Stała tuż za nim. Mimo, że od ich dziwnego spotkania minęło zaledwie kilka miesięcy, zmieniła się. Zapamiętał ją nieco inaczej. Wówczas wydawała mu się niedostępną królową opowieści, kobiecym demiurgiem, który wiódł go za rękę, by uczynić go nieodłączną i konieczną częścią własnego artystycznego spektaklu. Dziś stała tuż za nim, wciąż jeszcze trzymając dłoń na jego karku i uśmiechała się ironicznie. Wydało mu się, że w tej ironii dostrzega także radość. Tym razem to ona go znalazła, nie on ją, jak wówczas. Zapadła cisza. Oboje nie wiedzieli co powiedzieć.

Błądziłem, powiedział, trochę się włóczyłem. Zabrzmiało to jak usprawiedliwienie albo jak odpowiedź na niezadane pytanie: co robiłeś przez ten czas? Uśmiechnęła się. Wstał i bez słowa poszli przed siebie strącając z ubrań twarde kawałki pyłu i pamięci. Nie poszedł na umówione spotkanie z przyjacielem. Chodzili po parku i rozmawiali. To taki dzień, po którym nie ma już nic, pomyślał. Patrzył przed siebie i słuchał uważnie jak opowiada mu o swoim życiu. Sam mówił niewiele. Człł się tak, jakby ponownie prowadziła go do jakiegoś domu, w którym pomieszczone zostały czasy, ludzie i przedmioty. Czyżby zainscenizowała dla niego nowe przedstawienie, aby powiedzieć mu coś ważnego? Tymczasem było to tylko życie. Nagie i skulone.

Przepraszam cię za tamto, powiedziała. Zaczłł się śmiać, no co ty, przecież to ja wówczas szedłem za tobą, to było zresztą ekscytujące wyzwanie. Wykorzystałam cię. Daj spokój. Nawet nie wiesz... zawahała się. Ciii, to był dzień, którego nigdy nie zapomnę.

Już nigdy nie wrócę do tego domu, mam z nim związanych bardzo wiele złych wspomnień. Chciałbym tam wrócić. Udała, że tego nie dosłyszała. Było w niej wiele smutku, którego wcześniej nie dostrzegał. Dowiedział się, że jest artystką. Tworzę różne rzeczy... i ucięła temat. Gdy mówiła z dziwnym, nieco wschodnim akcentem, wydawało mu się, że wyśpiewuje swą historię niczym pieśń podskakującą po bezdrożach. Słuchał o najtrudniejszych wyborach, których dokonywała w życiu, o zmaganiu się z macierzyństwem – choć znów błyskawicznie zmieniła temat, więc nie dowiedział się niczego o jej dziecku. Gdy opowiadała o trudnościach i dramatach jakie na nią spadły w ostatnich latach, dziwił się ile siły można z siebie wykrzesać. Wciąż jednak miał wrażenie, że wiele przed nim ukrywa. Jej wypowiedzi kończyły się w połowie zdania, czasem pauza zastępowała słowa, które pojawiały się w jej gardle, lecz tam zostawały na zawsze, niewypowiedziane. Zwyczajne życie, mówi w końcu ona. Ale według niego nie ma w jej opowieści niczego co uznałby za zwyczajne. W końcu mówi mu, że często ma wrażenie, że utrzymuje na swych barkach cały świat, że próbuje robić rzeczy, które wciąż wydają jej się ponad siły. Po raz pierwszy patrzy mu w oczy.

Wówczas on przypomina sobie o czarnowłosej. Zwyczajne życie? Może coś w tym jest? Żegnają się, tak jak ostatnio, niemalże bez pożegnania. Rozchodzą się, jakby skończyło im się nagle paliwo. A jednak tym razem poznali już wreszcie własne imiona. Wymienili się numerami telefonów. Co miało nadejść, nie nadeszło. Co miało zostać schwyte, umknęło na zawsze.

Wysiadając z pociągu wpadł wprost na czarnowłosą, na ten nieznaną i tajemniczy hieroglif, na litery nieznanego pisma naddunajskich ludów lub Etrusków. Przeczytał cały projekt, z lewa do prawa. Zwyczajne życie, szepnął z grymasem na ustach. Sprawdził czy ma w kieszeni jej numer telefonu. I usiadł na peronie, aby jeszcze przez jakiś czas wpatrywać się w nieuchwytną czarnowłosą. Teraz była madonną, by po chwili mierzyć się z rzymską wilczycą, która wykarmiła Remusa i Romulusa. Za chwilę była kosmitą, który chciał czmychnąć i unieść się do innego świata. Pracowała, kochała, traciła i odzyskiwała. Ale jakby jej ubywało. Oczy miała coraz większe i smutniejsze. A ciężar nad głową zdawał się rosnać jak balon, który nie pęknie tak długo, aż będzie powtarzała jak mantrę: cholera, żyję i to sprawia mi najwięcej radości.